

**KRYSTYNA MODRZEWSKA – PRÓBA OPOWIEŚCI**  
**(Wybór prac młodzieży z lubelskich szkół w ramach projektu**  
**„Ocalić od zapomnienia – Krystyna Modrzewska” – Lublin 2012)**

**I**

**Wredna, rozwydrzona, egoistyczna, zarozumiała i strasznie fascynująca**

*Zdarzyło się jednak, że pewnego dnia mój roztargniony ojciec pozostawił te tajemnicze drzwi z lekka uchylone. Zapuściwszy żurawia w głąb gabinetu, ujrzałam ze zgrozą mojego ulubionego Michałka niedbale zwisającego z jakiegoś mebla. [...] W końcu jednak zapytałam ojca tonem domagającym się odpowiedzi:*

*– Co robi moja zabawka w twoim gabinecie?*

*Ojciec próbował wyjaśnić mi, że chore dziecko płakało, nie pozwalało się zbadać i aby je uspokoić... Nie czułam się usatysfakcjonowana tym tłumaczeniem i przeciwstawiłam mu własną argumentację:*

*– Po pierwsze – to jest moja zabawka, a po pierwsze – zabawkami się nie leczy.*

*(Krystyna Modrzewska, Dom przy Bernardyńskiej)*



Jak wyglądała? Jak chłopak. Nie przywiązywała wagi do wyglądu. Była przy kości. Nie lubiła sukienek (która dziewczyna nie lubi sukienek?!). Często mówiła o ścięciu włosów, a miała ładne warkocze. Młoda dziewczyna ścięta na chłopaka – głupota! Powinna być jednym z nich,

bo na przedstawicielkę płci żeńskiej się nie nadawała...

Co lubiła? Denerwować wszystkich dookoła. Nigdy nie chciała nikomu pomóc. Uważała, że każdy powinien pracować sam, co gorsza, zawsze była przygotowana do lekcji, więc nie można jej było tego wypomnieć. Wszystko wiedziała, na każdy temat. Tak jakby najfajniejszą rzecz pod słońcem stanowiła nauka. Lubiła to. Dziwadło.

I to ja razem z tym dziwadłem musiałam siedzieć w ławce. To była chyba kara dla nas obu. Za niewinność. Dlaczego to akurat mnie usadzono z tą krnąbrną, egoistyczną chłopczycą? Parę razy nawet się biła z jakimiś dziewczynami. Największy problem jednak pojawiał się wtedy, kiedy miałyśmy razem przygotować pracę do szkoły. Wtedy definitywnie porzuciłam nadzieję na ewentualną przyjaźń między nami.

Musiałam odwiedzić ją w domu. Weszłam przez próg. Dom jak dom. Może z tą różnicą, że jeden pokój był połączony z gabinetem lekarskim ojca. Zaprosiła mnie do salonu, gdzie miałyśmy pracować nad wspólnym rysunkiem, ale przedtem uraczyła mnie łaskawie jedną

z licznych podobno anegdotek ze swojego życia, mianowicie o tym, jak jedna z jej „złoty myśli” weszła na stałe do języka rodziny:

– Po pierwsze – to jest moja zabawka, a po pierwsze – zabawkami się nie leczy.

Nie zapomnę tego zdania chyba nigdy. Jak można być tak egoistycznym?! Biedne dziecko, które pewnie nie ma wcale zabawek i siedzi przestraszone u lekarza, a ona ma pretensje do ojca, że pożyczył mu na chwilę Michałka. Jak mnie mogło to zirytować! I do tego z jaką przyjemnością i przekonaniem o swojej racji to opowiadała.

Owa „zabawna” historia rozgrywała się na progu salonu, u wejścia do gabinetu ojca. Drzwi do tego pomieszczenia były zwykle zamknięte. Pewnego dnia to się zmieniło. „Ach! To roztargnienie mego ojca!” – powiedziała. Oczywiście jak każde normalne, ciekawskie dziecko musiała tam zajrzeć. Zobaczyła swoją przewspaniałą, najlepszą, najpiękniejszą, i Bóg wie jeszcze jaką, zabawkę, Michałka. Z jaką pasją opowiadała, jak zażądała wyjaśnień od ojca, co zrobił z jej zabawką, i jak zabłysnęła swoją odpowiedzią. Każdy – podobno – był pełen podziwu. O gustach się nie dyskutuje, ale ten rodzaj zachowania nikomu nie powinien się podobać, a tym bardziej jej rodzicom!

Skoro już o nich mowa, oni – i cała reszta rodziny – byli nader osobliwi. Ojciec Henryk, pomijając fakt, że był bardzo mądrym i wykształconym lekarzem zajmującym się Żydami, sprawiał wrażenie oderwanego od rzeczywistości. Jakby gabinet był jego całym światem i nic poza tym się nie liczyło. Nic więc dziwnego, że pozwolił jechać swojemu synowi, a starszemu bratu Krystyny, na studia aż do Berlina. Marian – bo tak miał na imię – podobno większość czasu siedział w książkach i niechętnie przerywał to zajęcie. Z tą jędzą bawił się rzadko. Może też denerwowało go jej zachowanie? Tego nie wiem, wiem natomiast, że Krystynę drażniła babcia, o której nie

wypowiadała się ciepło. Podobno nie dawała im prezentów, jeśli nie musiała – np. w święta, nie pozwalała im niczego ruszać w swoim sklepie z zabawkami i zawsze im zwracała uwagę, jeśli czegoś dotknęli, choćby czubkiem palca. Raz byłam w sklepie jej babki i według mnie sprawiała wrażenie niezwykle czarującej osoby. Najwięcej dobrego słyszałam o jej matce. Faktycznie była ciepłą, miłą i inteligentną kobietą. Polubiłam ją od razu. Szkoda, że Krystyna nie może być taka jak ona!

Może za bardzo na nią narzekam? Nie lubię jej i nie polubię, ale ona chyba też ma jakieś poważne problemy. To może przez nie taka jest? Wiem, że to nieładnie, ale z jednej z szuflad wypadła kartka. W tym czasie w pokoju nikogo nie było, bo Krystyna pomagała mamie zrobić herbatę w kuchni, wstałam więc, podniosłam... i otworzyłam złożony kawałek papieru. Był to napisany koślawym pismem list: „Nie myśl że ja sobie planuje to zafszę o nie niecodzień tylko kiedy się na mnie gniewasz. A planuję o tem jak mogę się zabić”.

No, właśnie, zabić czy lubić? Nie mogłam rozczytać. Ile mogła mieć lat, kiedy to pisała? Pięć? Sześć? Charakter pisma by na to wskazywał. Jakie dziecko mogłoby coś takiego napisać? Prędko odłożyłam list, kiedy weszła do pokoju ze szklankami, z herbatą i ciastkami. Próbowałam delikatnie czegoś się dowiedzieć, ale nie poskutkowało. Stwierdziła, że to, iż opowiedziała mi jedną historyjkę ze swojego życia, nie oznacza, że zacznie mi się spowiadać ze wszystkiego, co robiła, co przeżyła i co myśli. Ja oczywiście musiałam unieść się dumą i doprowadzić do kłótni. Przez resztę dnia rozmawiałyśmy ze sobą już tylko na temat zadanej pracy. Była to nasza ostatnia rozmowa w życiu.

Ciekawa jestem, co teraz się z nią dzieje. Czy nadal jest niemiłą i egoistyczną chłopczycą, której nikt nie lubi, a może stała się bardzo atrakcyjną kobietą, z ukochanym mężczyzną u boku, z gromadką dzieci i mnóstwem przyjaciół? Albo pochłonęła ją doszczętnie jej ukochana nauka? Nie wiem. Faktem jest jednak, że to najbardziej niezwykła osoba, jaką dotychczas spotkałam w swoim życiu.

**Aleksandra Komarowska**

(XXIII Liceum Ogólnokształcące im. Nauczycieli Tajnego Nauczania)

## II

### Kierunek: Uppsala

Nadszedł rok 1968. Dla mnie czas bardzo niepokojący – wyjazd do Szwecji. Zawsze lubiłam wyzwania i przygody. Pociągała mnie inność nieznanymi miejscami, ciekawiło nowe mieszkanie, przebudowujące się i nabierające kształtów, jak gdyby dojrzewające na moich oczach. Ten wyjazd to nie była moja decyzja, nawet nie wiem, czy sama bym taką podjęła. Do wyjazdu zostałam zmuszona przez państwo. Wcześniejsza wyprawa do Bolonii przyczyniła się do przejścia na katolicyzm. Nigdy nie zapominałam o tym, że jestem Żydówką, ale myślałam, iż może konwersja coś zmieni w moim życiu. Nie oczekiwałam cudu. Mimo ochrzcenia wypomniano mi po pewnym czasie moje prawdziwe pochodzenie – to, że jestem Żydówką.

Mam wielki szacunek dla swojego pochodzenia i dla przeszłości mojej rodziny, ale nic poza tym. Kiedy zbliżał się dzień wyjazdu, nadeszły pierwsze obawy. Nasilały się z dnia na dzień. Muszę przyznać, że do mojej duszy wkradł się strach. Do tego ta przygnębiająca pogoda – szaro, smutno. Tam jest wiecznie ponuro, nie ma nic, co mogłoby mi dać w tej chwili nadzieję na coś dobrego, siłę.



Krystyna Modrzewska stoi druga od prawej. Rada Wydziału Akademii Medycznej w Białymstoku.

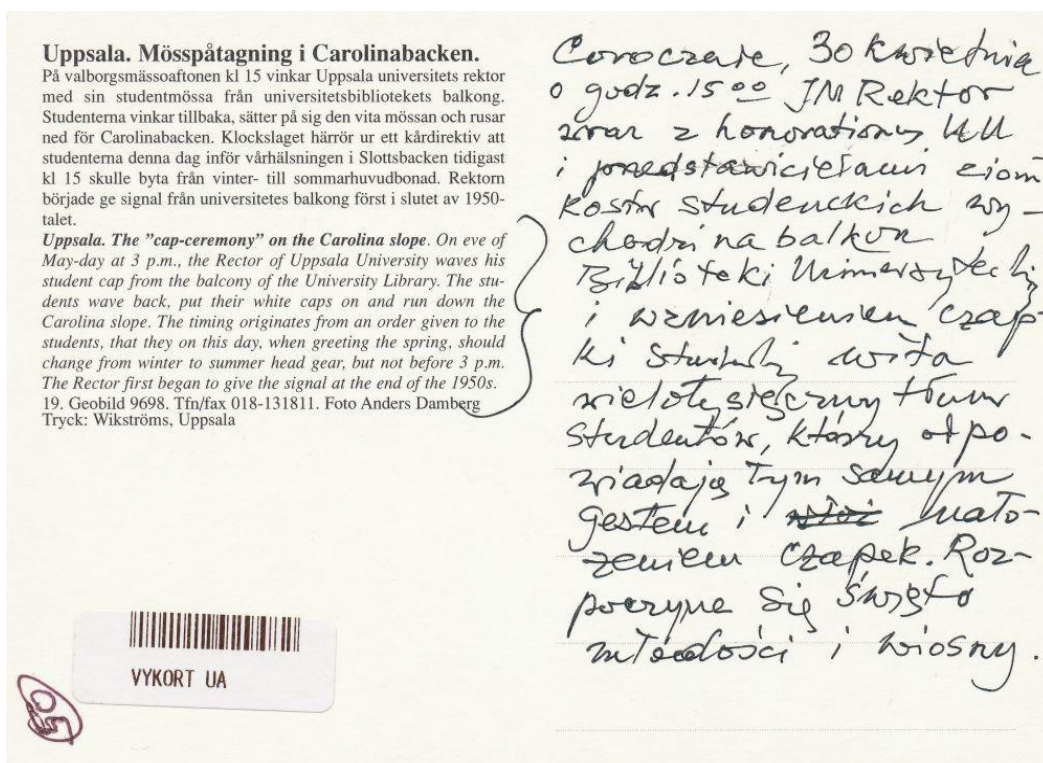
W końcu musiałam się spakować. Dwie walizki to bardzo mało. W dodatku nie wiedziałam, gdzie się znajdę, co będę robić, gdzie będę mieszkać i z czego będę żyła. Spakowanie rzeczy, które miałyby się tam przydać, było nierealne. Skąd miałam wiedzieć, co będzie mi potrzebne? Sporo słyszałam o emigracji do Szwecji. Moi znajomi ze studiów również musieli wyjechać. Wówczas miałam inne podejście. Patrzyłam na nich z innej perspektywy. Martwiłam się o nich. Oni też się wtedy obawiali, co się z nimi stanie. A teraz jestem w identycznej sytuacji i jakoś muszę sama sobie poradzić. Zabrałam ze sobą skrzynkę z najcenniejszymi przedmiotami. Zdjęcia, które tyle mi przypominały. Przecież jechałam tam sama. Zdjęcia były wspomnieniami niesionymi przy sobie. Obrączka mamy – coś niezwykłego.

Nie wróciłam, będąc kim innym niż w momencie wyjazdu, ale wróciłam, wiedząc, kim jestem, przygnieciona całym ciężarem tej świadomości. Pytałam teraz siebie, co zrobić z własnym życiem, i nie znajdowałam na to odpowiedzi. Co się robi z takim życiem? Co się robi, jeżeli absolutnie, w żaden sposób człowiek nie może się i nie chce zaakceptować samego siebie?

Wyjeżdżałam sama – bez rodziny. Matka zmarła w 1965 roku, ojciec jeszcze w latach 40. Wszyscy z mojej rodziny zginęli w Holokauście. Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale może to i lepiej. Matka bardzo przeżywałaby mój wyjazd.

Przed wyjazdem trochę czytałam o Szwecji i jakoś w ogóle sobie tej zmiany miejsca nie wyobrażałam – chociaż Szwedzi też obchodzą tradycyjne święta chrześcijańskie: Boże Narodzenie, Wielkanoc, Wniebowstąpienie. Cieszyło mnie to, bo dawało nadzieję, że nie zaniedbam swojej obecnej wiary. Szwecja wydaje się pięknym krajem, z górami, wspaniałymi trasami wędrownymi wzdłuż tzw. Królewskiego Szlaku. Latem białe noce, zimą ciemność i mróz. Ale to wszystko jakoś mnie nie przekonywało do przeprowadzki. Świadomość tego, że muszę wyjechać z przymusu, wręcz mnie dobijała. Minął rok 1968, potem 1969 i dalej pozostawałam w Lublinie. Przez te lata biłam się z myślami. „Może uda mi się uniknąć wyjazdu?” Niestety, rok 1970 okazał się decydujący. Wyemigrowałam. Byłam pełna trwogi – w końcu jechałam do zupełnie obcego kraju. Wówczas zaczął się w moim życiu nowy, odrębny rozdział. Cały czas miałam przy sobie zdjęcie z matką z czasów niemowlęctwa. Zawsze, gdy patrzyłam na tę fotografię, nachodziło mnie obsesyjne pytanie, czy matka, która była mocnym człowiekiem, wiedziała w tamtym czasie, jakiemu życiu wysyła mnie na spotkanie? Czy miałyby wystarczająco dużo odwagi, aby mnie urodzić? Wychować? Wprowadzić w to życie – pełne niespodzianek i zagadek?





Karta pocztowa z książki Krystyny Modrzewskiej *Z Bolonii do Uppsali*.

Pierwsze dni w obcym świecie. Pojawiają się desperackie myśli. Jedną z nich jest podjęcie nielegalnej pracy. W Szwecji było to rygorystycznie ścigane, wiązało się z aresztowaniem oraz wydaleniem z kraju i jednoczesnym kilkuletnim zakazem wjazdu na teren państw członkowskich EWG oraz Norwegii. Nie znałam języka, nie znałam nikogo, kto mógłby mi pomóc. Jednak po długich i trudnych poszukiwaniach pewnego dnia szczęście mi dopisało. Postawiłam pierwszy krok w nowej pracy. W 1970 roku zostałam docentem w szwedzkiej uniwersytecie w Uppsali. W 1981 roku uzyskałam tytuł doktora nauk medycznych. W Instytucie Genetyki Klinicznej uniwersytetu w Uppsali pracowałam do przejścia na emeryturę. Późniejsze lata na emigracji pozwoliły mi się realizować. Wiedziałam, co robię, zdawałam sobie sprawę, do czego dążę, jaki jest mój cel...

*W opowiadaniu wykorzystano kilka cytatów z książki Krystyny Modrzewskiej „Trzy razy Lublin” oraz z jej prywatnych zapisków.*

**Marlena Lisiecka**

(VIII LO im. Zofii Nałkowskiej)

### III

#### Zmęczona przebytą drogą

Postanowiłam, że już musimy wypłynąć. Powiedziałam mężowi, aby zabrał ciepły koc i płaszcze przeciwdeszczowe. Spojrzałam przez okno, szarość zalała krajobraz. Wyruszyliśmy bezszelestnie. Drobnymi krokami szliśmy wzdłuż alejki drzew. Przez gęstą mgłę nic nie było widać. Dotarliśmy nad brzeg morza. Niedaleko miasteczka we wschodniej części Szwecji położonego około 70 kilometrów na północ od Sztokholmu. Dokładnie wyruszyliśmy z zatoki Ekoln.

Do pomostu była przymocowana łódź, którą Carl, mój mąż, chwyciwszy linę, sprawnie przyciągnął do siebie. Delikatnie wniosłam na nią urnę z prochami. Rozścieliliśmy koc, włożyliśmy na ramiona płaszcze. Ojej, pamiętam te chwile jak wczoraj, śmiałyśmy się, mówiąc po szwedzko-włosku. Nauczyła mnie kilku włoskich piosenek. Opowiadała, jak zaczęła się uczyć tego języka – początki były proste, bo zaczynała od książek dla dzieci.



Z profesorem Böökiem po promocji doktorskiej.

Spojrzałam w jego szkliste niebieskie oczy i szepnęłam: „Boisz się?” Pokręcił przecząco głową.

– Pamiętasz, Carl, jak chciałeś pojechać do Rzymu?

– Tak, i te jej słowa „jadę z wami”. Wariatka kupiła bilety...

– I wyruszyliśmy razem...

Po dłuższej chwili znaleźliśmy się daleko od brzegu. Z żadnej strony nie było widać nic poza gęstą mgłą. W powietrzu unosił się zapach morskiej wody. Fale uderzały miarowo w małą

drewnianą łódkę. „Zrobimy to razem, prawda?”– zapytałam niepewnym głosem. „Oczywiście, kochanie”– odparł, chwyciwszy mnie mocno za rękę. Razem podnieśliśmy urnę. Wstaliśmy i jednym ruchem rozsypaliśmy jej prochy. Nad spokojnym morzem przebiegł podmuch wiatru. Biały proch uniósł się ku górze i powoli zaczął opadać, jak kwiat, który czuje nadchodzący zmrok.

Czas jakby się zatrzymał. Przed oczami pojawiły się obrazy. Zobaczyłam spędzone razem chwile, dobre i złe. Na początku naszej znajomości powiedziała mi, że miała starszego o osiem lat brata, który niestety zginął. Wspominała czasem o rodzicach. Ojciec był lekarzem, a matka – nie wiem, czy miała jakiś zawód.

Krystyna była moją najlepszą przyjaciółką, mimo że chciała upodobnić się do mężczyzny i – po prawdzie – wychodziło jej to. Zapamiętałam jej charakterystyczne subtelne dłonie. Napisała nimi wiele prac naukowych, publikacji beletrystycznych. Przypomniały mi się nasze rozmowy. Moja kochana Krysia wydała wiele książek – niektóre jeszcze w latach 50. i 60., pod pseudonimem literackim Adam Struś.

„Miłość czy obsesja?”– pytała mnie czasami i szybko dodawała: „To stany tak bliskie sobie”. Przypomniało mi się jej przerażenie na widok czaszek. Opisała to w swoich książkach: ciemne, jak gdyby z brązu, z przylepionymi perukami umarłych włosów. Czyżby dlatego wolą być skremowana? Spełniając jej ostatnią wolę, pomyślałam sobie, że miałam szczęście, iż poznałam Krystynę. Bardzo dobrze móc znowu o niej mówić po tylu latach. Powraca do mnie coraz więcej wspomnień. To bardzo ważne, żeby zadbać o pamięć o niej.

Po zejściu na brzeg zacytowałam ją na głos: „Poczułam się zmęczona przebytą drogą”.

*W opowiadaniu wykorzystano fragmenty z wywiadu z programu Historia Mówiona w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”.*

**Dominika Biała**

(VIII LO im. Zofii Nałkowskiej)



## IV

### Nad niedopitą kawą

Żyjemy w świecie pozornie nieznanym ograniczeń. W ciągłym pośpiechu przechodzimy z punktu A do B, i tak dalej. Czasem jednak warto przystanąć, spojrzeć wstecz i ocalić od zapomnienia osobę, o której mówi się z rzadka, a która niewątpliwie zasługuje na upamiętnienie. Osoba Krystyny Modrzewskiej zahacza o wiele płaszczyzn dziejów wojennych i okupacyjnych. Jednak najczulszym przystankiem jej życia wydaje się dzieciństwo oraz to, jakim była dzieckiem. Przede wszystkim może urzezać – co czuła, o czym marzyła, czego pragnęła, ale też to, czego tak naprawdę nigdy nie zaznała.

Całym swoim największym pragnieniem bycia kochanym przez rodziców próbowała objąć skrawek papieru. Słowami niezdarnie złożonymi w zdania próbowała wołać o ukojenie jej wewnętrznego cierpienia, głosu wołającego o ciepło. Przygryzawszy wolno wargę, szpeciła kolejną raną przesuszone, popękane usta. Usteczka Krysi układały się w prostą linię, nieprzepuszczającą żadnego uczucia do jej otoczenia. Jej smutne, przepełnione tęsknotą oczy wodziły niezgrabnie po słowach, które miały zadać ból jej mamie. Może właśnie te słowa, które miała przed sobą, miały być zbawieniem dla nich obu. Miały nadać nowy sens. Miały w ostateczności zbliżyć je do siebie i już nigdy nie pozwolić odejść tak daleko.



Lublin – gród przy kościele ewangelickim. Krysia z bratem Marianem, zamordowanym październiku 1939 r. w więzieniu w Dreźnie za działalność antyfaszystowską.

Marszcząc czoło, przyglądała się swojej matce, czytającej jej wyznania, które nie należały do najłatwiejszych. Nie potrafiła bądź nie chciała z nią na ten temat rozmawiać. Młoda Mandelbaumówna w listach odnajdywała antidotum na minimalne złagodzenie bólu, który parzył ją od środka. Krystynę, będącą jeszcze małą dziewczynką, oburzała postawa obojętności matki, która unikała konfrontacji z nią, nie spróbowała wyciągnąć jej z tej niechęci do życia. I o to Krystia miała najwięcej żalu i pretensji.

---



Rodzice Krystyny: Henryk (Hersz) Mandelbaum – lublinianin, dyrektor miejscowego szpitala żydowskiego, znany lekarz oraz Franciszka (z domu Frenkiel) – absolwentka Konserwatorium Muzycznego.

Wychodząc na dwór, także nie potrafiła się odnaleźć. Inne dzieci ganiały po pobliskich alejkach, wrzeszcząc jak oszalałe, a ona dostrzegała w tym jedynie bezcelowość. Wszystko było jakieś nijakie, pozbawione koloru i głębszego sensu. Czuła się trochę sinusoidalnie, po wzbiciu się w górę czuła, jak opuszczają ją siły i spada. Nabierała chęci do zabawy, to się z niej wycofywała. Spada... Dlatego jako mała dziewczynka potrafiła przesiadywać samotnie w ogrodzie plebanii kościoła ewangelickiego w Lublinie. Tamto miejsce, pachnące gotykiem, wypełniało jej czas przeróżnymi refleksjami. Gdy z dala przypatrywała się swym rówieśnikom, być może jej serce kłuła szczypta zazdrości. Radość i beztroska, którymi były namaszczone tamte dzieciaki, silnie kontrastowały z jej nic niewartym życiem.

### **„Kupowałam gazety i nie czytałam ich...”**

Nie szukała przyjaciół. Oni sami też nie chcieli się odnaleźć. Była sama. Pozostawiona sama sobie. Postawiwszy pytanie, udzielała sobie odpowiedzi. Dojrzała Krysia w tak młodziutkim wieku rodziła przemyślenia na tematy trudne. Wieszając sobie od najmłodszych lat poprzeczkę tak wysoko, nie zwolniła nigdy, całe życie walczyła o swoje „ja”. Jednak nie zawsze, pomimo determinacji, którą kształtowała przez większość dzieciństwa, udawało jej się wstać, by żyć z mocą. Właściwie w ogóle jej nie miała. A jednak żyła, choć nie chciała. Wstawała, mimo że nie chciała tego wcale.

### **„Z ojcem ja nie rozmawiałam ani razu w życiu...”**

Każdego ranka budziła się z nadzieją, że to może właśnie dziś. Może to właśnie ten dzień, w którym coś się zmieni. Pęknie, umrze, narodzi się na nowo. Każdego ranka czekała na rozmowę z ojcem. Banalną, infantylną, ale rozmowę. Jakąkolwiek formę konwersacji. Próbując odnaleźć swoją tożsamość i orientację seksualną, już jako młoda kobieta, bardzo liczyła na pomoc ze strony ojca. Był w końcu lekarzem. Na medycynie się znał. Może był na tyle wybitny i rozchwytywany, że problemy córki niknęły gdzieś na tle ciężkich przypadków pacjentów. Będąc staruszką, spisawszy swoje wyznania, mocno żałowała, że nigdy nie podjęła próby naprawienia relacji ojciec – córka. Tak piękna i ważna więź, której ani przez jeden ułamek sekundy nie było jej dane odczuć...

### **„Ja kocham ten język...”**

Dlaczego zaczęła pisać? Pisanie było jej osobistym, wewnętrznym sanatorium. W słowach między przecinkiem a kropką, między początkiem a końcem zdania umiejscawiała siebie, utożsamiając się z tym, co stworzyła. Potrafiła zaczarować: „[...] ten dźwięk. Ja piszę po prostu dlatego, że to jest tak jak romans taki między mną a słowami. Ja nie wiem dlaczego. Ja zawsze pisałam”.

### **„Rzeczy dotyczące mnie działy się ze mną wprawdzie, ale nie za moją sprawą”**

W tych wszystkich zapiskach życia brakowało tylko jego. Starszego o osiem lat brata Krysi. Na fotografii została uchwycona jedna z chwil niewielu, kiedy Marian był obok niej. Czy było to rodzeństwo szczęśliwe? W swych książkach Modrzewska nie zwykła o nim wspominać. Wiadomo, że był. Choć czy dla niej... tego już nie. Raz czy dwa, napomknawszy o nim, czuła, że już nadużywa tego tematu. Być może to wiek był tą granicą dzielącą ich życie bądź ona sama czuła się na tyle niechciana i odrzucona przez rodzinę, że nie potrafiła pielęgnować relacji z bratem.

Jej dom był jakby nie jej. Czuła się w nim obco i nieswojo. Aż trudno uwierzyć, że mieszkające

w nim trzy osoby nie potrafiły przerwać tej nieustannej ciszy między sobą. Nikt nie zdobył się na wykrzyczenie kilku słów będących sygnałem i alarmem ostrzegającym przed rozpadem rodziny. Nikt nie miał czasu. Nikt nie chciał go znaleźć. Żył się wygodniej, lepiej? Nie dla Krystyny, która w czasie dzieciństwa zdążyła w sobie nagromadzić tyle goryczy i melancholii.

### **„[...] parzyłam kawę i pozostawiałam ją niewypitą”**

Rodzice nie nauczyli jej miłości i wielu innych tak ważnych i potrzebnych rzeczy, wypracowując sobie status zwykłych opiekunów dziecka. Całokształt tych złych emocji i doświadczeń, tkwiący gdzieś w zakątkach jej duszy, sprawił, że nie była do końca pewna samej siebie, uwikłana w problemy z własną tożsamością. Niewątpliwie właśnie to wpłynęło na jej wsparcie walki z chorobami psychicznymi, zwłaszcza ze schizofrenią, czego wyraz dała w swoich licznych pracach naukowych.

*W tekście wykorzystano m.in. fragmenty „Na krawędzi chaosu” Krystyny Modrzewskiej.*

**Natalia Jochim**

(II Liceum Ogólnokształcące im. Hetmana Jana Zamoyskiego)

*Prace wykonane pod opieką i redakcją Aleksandry Zińczuk*



**Projekt dofinansowany z Programu „Patriotyzm Jutra” Muzeum Historii Polski.**